

marzec 1939 - tzw mała mobilizacja - przydział do 20 pal; rejon koncentracji pułku Nasielsk - Płońsk; oficer ogniowy 12 baterii, IV dyon. 20 pal /Prużana - Baranowicze/ liczył 4 dyony. Przed przejściem w sierpniu 1939 z rejonu koncentracji na stanowiska bojowe - II dyon przemienowano na wydzielony z pułku 59 dyon, a IV dyon przemianowano na II dyon i w tym składzie walczył we wrześniu w ramach 20 dywizji piechoty na rzęcz 78 i 80 pp.

Karta mobilizacyjna do Flotylli Rzecznej Marynarki Wojennej w Pińsku. Przydział i funkcja: dowódca artylerii monitora Toruń, dowodzonego przez kpt. mar. Bolesława Porydzaya. Skuteczna obrona przed lotnictwem niemieckim Mostów Wolańskich i Przewozu Łachewskiego na Prypeci.

17 września - wobec napaści armii sowieckiej - rozkaz dowódcy Flotylli kdra Witolda Zajączkowskiego: zatopić monitor, zniszczyć działa, załadować na podwozy wymontowane z wieżyczek karabiny maszynowe oraz amunicję i żywność i marszem pieszym udać się na koncentrację oddziałów Samodzielnej Grupy Operacyjnej "Polesie" pod rozkazy gen. Kleeberga.

Od 18 do 27 września przez Płotnicę /19.IX/, Ruchczę, Chwędory, Serniki, Pohost, Lubieszów /23.IX/, Ratno, Zabłocie - głównie marszem nocnym ze względu na groźbę nalotów - zdążyłem jako dowódca plutonu k.m. w ramach batalionu, złożonego z różnych jednostek spieszonych marynarzy Flotylli, początkowo do rejonu koncentracji SGO Polesie w rejonie Kowla, a później - po odcięciu przez armię sowiecką drogi na Węgry i Rumunię - do Włodawy. Po drodze utarczki z uzbrojonymi bandami komunistów ukraińskich, współdziałających z jednostkami armii sowieckiej.

Zgodnie z dyrektywą Naczelnego Wodza - marszałka Śmigłego-Rydza, którą otrzymał broniący Warszawy gen. Rómmeł, ten ostatni wysłał depezę do gen. Kleeberga: -"Wycofać się na Węgry lub Rumunię. Z Moskalami nie walczyć"! Dyrektywę tę przekazano spieszonym oddziałom Flotylli, cofającym się pod naporem bolszewików na zachód... Przedpołudniową porą śpieszyliśmy przez duże pustkowie międzyleśne, piaszczystą drogą, między zagonami nędznych kartofli do wioski - jeśli dobrze pamiętam była to Derewka - w której mieliśmy zamiar schronić się na resztę

dnia przed nekającymi nas niemieckimi samolotami. Nie zdążyliśmy. - Nadleciały dwa dwusilnikowe bombowce, ostrzeliwując z broni pokładowej rozciągniętą kolumnę naszych wozów. Bosmanmat, obsługujący Hotchkissa /dwulufowy karabin plot/ otworzył ogień. Lewy silnik samolotu zedymił... na skrzydłach zobaczyliśmy czerwone gwiazdy. Bombowce odleciały. Nie zatrzymaliśmy się w wiosce. Pośpiesznym marszem minęliśmy ubogie zabudowania i zapadliśmy, niewidoczni dla lotników, w gęstym sosnowym lesie, około pół kilometra od wioski. Zdolność przewidywania naszego dowódcy nie zawiodła. Nie upłynęło 20 minut jak nadleciało trójkami kilkanaście małych dwupłatowców... wioska spłonęła doszczętnie bo wróg myślał, że się w niej schroniliśmy. Jeszcze przed wieczorem ruszyliśmy leśnymi wertepami w dalszą drogę, na zachód. Zalesione, częściowo bagienne bezdroża południowego dorzecza Krypeci, poprzecinane licznymi dopływami, uniemożliwiały szybki marsz nienawykłym do długich wędrówek spieszonym marynarzom.

Jak wiadomo - ostatnie oddziały WP, zdążające do Włodawy przeprawiły się przez Bug w nocy, rankiem, a nawet po południu 27 września. Mój oddział, który przebył najdłuższą drogę, niemal od wschodniej granicy, po forsownym marszu nocnym z 26 na 27 września, po przejściu przez płonące Ratno, ostrzeliwany przez Ukraińców, dotarł po kilku kilometrach do wschodniejskrajowi wsi, której nazwa uleciała mi - niestety - z pamięci. Dowództwo zatrzymało się w dużym domu - leśniczówka? - wypełnionym po brzegi uciekinierami z Warszawy, wśród których spotkałem znanego mi sprzed wojny dramaturga i krytyka teatralnego - Wacława Grubińskiego. Opuszczył Warszawę na apel płk Umiaszowskiego... Po rozlokowaniu wozów i koni z mordowane nieludzko wielogodzinnym marszem bractwo żołnierskie, rezygnując z jedzenia, zapadło natychmiast w twardy sen. Tylko niektórzy marynarze opatrywali rany pociętych do krwi stóp. Ja również skorzystałem z pomocy sanitariusza; w czasie przemarszu przez Ratno odniosłem - na szczęście lekką ranę postrzałową w okolicy stawu łokciowego prawej ręki.

Nie był nam dany odpoczynek. Zegarnął nas bez jednego strzału zmotoryzowany, silny oddział armii czerwonej, który od dwu dni śledził nasze poruszenia. Zmęczonych, niezdolnych do jakiegokolwiek oporu, nieprzytomnych ze snu żołnierzy oddzielono od oficerów. Selekcję przeprowadził oficer w randze majora, bar-

dzo dobrze mówiący po polsku. Na rozłożone na ziemi koce polecił złożyć broń, torby polowe, mapniki, notatniki. Te ostatnie szczególnie interesowały wspomnianego wyżej majora, który po zapoznaniu się z nimi powiedział, iż informacje w nich zawarte o trasie, którą przebyliśmy, świadczą na nasze szczęście, że nie jesteśmy batalionem KOP, który, ostrzelany przez mieszkańców jednej z mijanych wsi, krwewo się z nimi rozprawił nie szczędząc kobiet, dzieci i starców, a wieś z zemsty spalił ze szczętem. Być może miało miejsce takie zdarzenie. Dzieje zbrojnych starć oddziałów KOP z najeżdzącą ze wschodu po 17 września ciągle jeszcze czekają na rzetelne opracowanie. Wówczas trudno było kwestionować relację bolszewickiego oficera, który z rozbrajającą szczerością wyznał, że dopiero nasze zapiski upewniły go iż nasza jednostka nie była tą, którą ścigali by wziąć odwet za spalenie wsi. Pomyłka kiepskiego - jak widać - rozpoznania uratowała naszą jednostkę od niechybnej masakry, a batalionowi KOP, posuwającego się inną trasą, umożliwiła bezpieczne dotarcie do Włodawy

W takich okolicznościach znalazłem się w niewoli bolszewickiej. Połączono mnie do grupy, liczącej około 40-50 osób: oficerów niższych stopni, podchorążych, podoficerów i kilku policjantów. Pośpiesznym marszem popędzono nas groblami pośród rozlewisk, częściowo na przełaj pod strażą podoficera i kilku żołnierzy oraz uzbrojonych cywilów, którzy domagali się od podoficera by nas zostawił, a oni już się z nami rozprawią. I tu stała się rzecz niesłychana! - Podoficer najbardziej natarczywego cywila zastrzelił, a reszta bandy pierzchła.

O zmroku dotarliśmy do Małoryty. Wpędzono nas, potykających się o szczeble jakiejś pochylni, do zatłoczonego pomieszczenia, gdzie w zaduchu i smrodzie ludzkich odchodów, wśród przekleństw depreczających po sobie ludzi szukających miejsca dla potrzeb fizjologicznych, spędziliśmy koszmarną, bezseną noc, przerywaną seriami karabinu maszynowego. W nikłym świetle poranka zorientowałem się, że uwięziono nas w pomieszczeniu pod halą tartaczną. Jedyne wyjście wspomnianą pochylnią strzegli żołnierze, uzbrojenie w karabiny z długimi bagnetami. Po kilku godzinach wyprowadzono nas i wśród szpaleru żołdatów popędzono za miasto gdzie czekał na torze kolejowym zestaw wagonów towarowych,

strzeżony przez rozstawionych co 10 - 15 metrów żołnierzy. Wokół wagonów uwijali się uzbrojeni cywile, rabując co się dało wpędzanym do wagonów żołnierzom... nie zostałem bez butów bo transport ruszył i nie zdążyli mi ich sciągnąć.

w zamkniętych, bydłych wagonach jechaliśmy przez Brześć, Berezę, Baranowicze, Niegorełoje - granica ! - i dalej przez Mińsk do Orszy. Wielki węzeł kolejowy, który nasz niespieszny transport osiągnął 1 lub 2 października. Straciłem rachubę czasu. Drugiego dnia postoju otworzono wagony... sądziliśmy, że jadąc ponad cztery doby bez jedzenia i picia - tylko nieliczni mieli jakieś zapasy - dostaniemy wreszcie jakiś posiłek. Niestety - chodziło o całkiem odwrotną czynność. Trójka moich komilitonów: porucznicy marynarki Bolesław Nagmajer i Zdzisław Maltz oraz pchr Janusz Marcinkiewicz - podobnie jak ja - nie mieli żadnej żywności. Tylko pchr Stanisław /? / Sawiński zdążył przed wymarszem do Małoryty wziąć do chlebaka trochę sucharów i kilka jabłek. Poczciwie podzielił się z nami; wypadło dla każdego po jednym sucharze i po pół jabłka... niewiele jak na cztery doby.

Po piętnastu minutach rozkaz: "po wagonam, bystro, bystro!" Zgrzyt zamykanych drzwi i z powrotem ciemny, zawieszony wagon, pragnienie, głód skręcający kiszkę, spowolniony, zamierający rytm serca i zapadanie w sen. Spało się siedząc okrzakiem na grubyh belkach umieszczonych w poprzek wagonu, z głową na plecach najbliższego towarzysza. Obudził mnie hałas otwieranych drzwi. Nocą przetoczono cały transport. Stał przy długim peronie, z którego tu i owdzie wystawały rury z kranami. Woda! Rozebrałem się do pasa i zimny strumień przywrócił mi chęć życia. Wytarłem się koszulą, którą przeparałem sądząc, że wygubię wszy, włożyłem mundur, płaszcz, wypłukałem usta... instynktownie - nie napiłem się wody. Wielu, którzy łapczywie gasili pragnienie nabawili się biegunki. Jedzenia i tym razem nie dostaliśmy.

Nocą transport ruszył w dalszą drogę, w nieznane. Przed wyjazdem wartownicy wyrąbali siekierą dziurę w podłodze wagonu i w tak prosty sposób załatwiono nasze ewentualne potrzeby, bez kłopotliwego zatrzymywania transportu, wypuszczania potrzebujących i zapędzenia ich z powrotem do wagonów. Dniem zorientowaliśmy się, że jedziemy na południowy wschód. Mijał się